

tak się stało? Czy Profesorowi znowu, tu także, byłem potrzebny. Owszem, Profesor był już chory. Więc nie miał sił, by sam odczytać swój referat. Przecież mógł to zrobić ktoś inny:

„Ogarniając jednym spojrzeniem okres dziesięcioletniej działalności mojej w Instytucie Zachodnim, trzeba powiedzieć, że w tym czasie zrealizowały się moje poglądy na miejsce Polski w świecie. Polacy uzyskali wreszcie właściwą sytuację geograficzną, zgodną z naukami historii ... (por. *Spojrzenie wstecz. Studia historyczne*. Warszawa 1955, s. 430).

A w perspektywie sali, gdy podniosłem oczy, aby odetchnąć w trakcie czytania, stali pod ścianą dwaj uczniowie dwóch moich kolegów – profesorów UAM: jeden był uczniem Alfonsa Kłafkowskiego – Krzysztof Skubiszewski, później profesor UAM i minister spraw zagranicznych; drugi zaś uczniem Witolda Jakubczyka – Lech Trzeciakowski, także później profesor – i co więcej – dyrektor mego Instytutu Zachodniego.

W pół roku później Profesor już nie żył, a w oczach zostały piękne perspektywy młodego pokolenia nauki polskiej*.

HALINA CAŁKA

MOJE WSPOMNIENIA O INSTYTUCIE ZACHODNIM

Profesora Zygmunta Wojciechowskiego poznałam w naszym mieszkaniu warszawskim jako dyrektora Studium Zachodniego, w którym mój mąż, pełnił funkcję sekretarza. Po moim powrocie do Poznania, na życzenie Profesora, w oznaczonym dniu i godzinie przekroczyłam progi Instytutu.

W bardzo serdecznej rozmowie Profesor postawił mi trzy pytania: jak przeżyłam – dawałam radę z chorym dzieckiem w okresie 1944/1945, jakie są moje plany na przyszłość i czy mam już zapewnioną pracę zawodową. Dowiedziawszy się, że z powodu kłopotów ze strunami głosowymi nie będę mogła pracować w swoim zawodzie nauczycielskim, zaproponował mi pracę w Instytucie. Będziemy w przyszłym roku otwierać nowe pracownie i działy, znajdzie się więc miejsce dla pani, na razie przytuli panią księgowość.

Z dniem 1 grudnia 1945 r. rozpoczęłam swoją pracę w Instytucie – a zakończyłam ją 31 maja 1992 r., zmieniając w tym okresie kilka razy warsztat pracy.

* Fragment wspomnień, pt. *Moje pionierskie lata w Polsce, Wielkopolsce i w Poznaniu – 23 lutego 1945 – 20 marca 1948*. (Tego dnia zostałem podstępnie uprowadzony w Poznaniu z ulicy przez UB i uwięziony; wróciłem do Instytutu dopiero w 1952 r.).

Pierwsze miesiące spędziłam pod opieką miłej, życzliwej dla otoczenia księgowej Haliny Cieślak. Ten krótki okres pomógł mi bardzo w mojej dalszej pracy.

Po odejściu H. Cieślak na emeryturę, jej prace przejęła na krótki okres Henryka Kolipińska, a po niej, aż do przejścia na emeryturę Halina Piechel-Piętowa, ceniona i lubiana za swe oddanie sprawom Instytutu oraz za stałą gotowość pomocy jego pracownikom.

Sprawy organizacyjne i administracyjne prowadził mec. Kazimierz Dziembowski, a po nim dr Michał Pollak, cieszący się wielkim autorytetem współpracowników. Odszedł z Instytutu razem z jego dyrektorem prof. Michałem Szanieckim.

Instytut zajmował wtedy 2 mieszkania czynszowe w domu przy ul. Chełmońskiego 1. Pokoje duże, jasne, ale było ich za mało. Warunki pracy były więc trudne. Poprawiły się one po otrzymaniu w pierwszych miesiącach następnego roku 3 mieszkań – 2 na parterze i 1 na III piętrze.

Na II piętrze pozostała dyrekcja IZ., sekretariat, księgowość, 3 pracownie, dział wydawniczy i stołówka.

Na razie jednak pracowaliśmy wszyscy na II piętrze. Praca tu była trudna, zwłaszcza dla dwóch działów: wydawniczego i nowego działu sąsiadującego z działem wydawniczym – działu ekspedycji wydawnictw.

We wszystkich sąsiadujących ze sobą pokojach dzwoniły telefony, stukały maszyny do pisania, słychać było rozmowy telefoniczne długie i głośne – petentów wielu wychodzących i wchodzących. Potykaliśmy się o stopy paczek z książkami, które zajmowały wszystkie wolne miejsca w pokojach i korytarzach. Popracować spokojnie można było dopiero w godzinach popołudniowych, co przedłużało godziny naszej pracy.

W tych trudnych warunkach pracy dział wydawniczy opracował i wydał sporo książek, bardzo poszukiwanych. Zatrudniał wielu pracowników, redaktorów i korektorów. Był to zespół zwarty o dużych kwalifikacjach, ceniony przez Profesora i pod jego specjalną opieką.

Kierownikiem działu wydawniczego i redaktorem naczelnym był Kirył Sosnowski – rzutki, o dużym doświadczeniu i stażu wydawniczym. Pomagali mu w jego pracy: Janusz Jabłoński, Antoni Bocheński, późniejszy dyrektor Państwowych Wydawnictw Szkolnych oraz dr Mieczysław Suchocki o dużej wiedzy, spokojny o swoistym poczuciu humoru, późniejszy redaktor naczelny tego działu – o wielkich zasługach dla Instytutu, nie zawsze docenianych. Z pracowników-korektorów pamiętam: Magdalenę Staszewską, Marię Różańską, Mariana Pachuckiego, Zofię Prądyńską.

Marian Pachucki, niesłuchanie skromny, cichy – pozostawił jednak pamięć po sobie jako założyciel biblioteki pracowniczej oraz organizator spotkań z książką: trochę literatury, trochę poezji, kilka piosenek i zawsze żywa ciekawa dyskusja.

Pierwsze książki pochodziły z darowizn, zakupu dokonywano z pieniędzy pochodzących z opodatkowania pracowników na ten cel. Przez długie lata pracownicy oraz ich rodziny korzystali z tej biblioteki – szkoda, że uległa zapomnieniu.

Dział ekspedycji wydawnictw zajmował na II piętrze jeden pokój na 4 osoby, wszystkie jednak wolne miejsca zajmowały paczki z książkami.

W zakres naszej pracy wchodziła ekspedycja wydawnictw – sprzedaż, wysyłka egzemplarzy okazowych i gratisowych do ministerstw, urzędów, ośrodków naukowych, konsulatów i ambasad w kraju i za granicą. Współpracowaliśmy wtedy z 40 księgarniami na zasadzie komisów.

Mieliśmy też w swojej administracji Dom Pracy Twórczej w Osiecznej oraz folwark Jeziorki k. Osiecznej. Do nas również należała pomoc w organizowaniu zjazdów naukowych, konferencji, narad, spotkań w Poznaniu i Osiecznej.

Kierowniczką tego działu była energiczna, o dużym zmyśle handlowym, Janina Nawrocka. Pomagała jej Janina Jaksiowa. Mnie powierzono (tu znalazłem drugi warsztat pracy) magazyny, wysyłki gratisów i okazówek oraz pomoc w organizowaniu imprez. Miałam więc w mojej pracy przerywniki – ciekawe przez swoją różnorodność. Młody goniec zajmował się sprawami wysyłek. Stanowiliśmy zespół przyjazny sobie.

Do pierwszych założonych pracowni należała sekcja onomastyczna. Jej pracownikami byli dr Kazimierz Kolańczyk i dr Władysław Rusiński. Pracownia ta powstała z niczego. Nie posiadała pomocy naukowych, map, personelu technicznego, zawałona była listami. Jednak energii obu wspomnianych pracowników, wytrwałości, zdolnościom i mrówczej pracy zawdzięczał Instytut ukazanie się już w 1946 r. cennej, oczekiwanej pozycji wydawniczej – słownika miejscowości i nazw topograficznych Ziemi Lubuskiej. Słownik ten bez zastrzeżeń został zatwierdzony przez władze i zaakceptowany przez mieszkańców tej ziemi. Opiekunem sekcji był dr M. Rudnicki.

Drugą powstającą pracownią była pracownia dokumentacji. Zadaniem tej pracowni było zabezpieczenie i gromadzenie rozproszonych po różnych instytucjach dokumentów, co było niezmiernie ważne ze względu na to, że państwowe archiwa jeszcze nie pracowały. Kierownikiem tej pracowni był dr Karol Marian Pospieszalski, jego prawą ręką stała się Juta Jańczak. Już w 1946 r. ukazał się pierwszy tom serii wydawnictw *Documenta Occupationis*.

I jeszcze kilka wspomnień związanych z mgr Stanisławą Zajchowską z pracowni geograficznej i Marią Walentynowicz z biblioteki IZ. Obie te panie rozpoczęły organizację cyklu wędrówek po Wielkopolsce dla pracowników. Były to wypadki jednodniowe. Dzięki nim poznałyśmy piękne zakątki naszego regionu. One zaszczepiły w nas zamiłowanie do wycieczek, które w pełni zaowocowało kilka lat później, na długo. W 1961 r. pracownik również sekcji geograficznej, mgr B. Głębocki, zorganizował dla nas wycieczkę 5-dniową na Warmię i Mazury autokarem.

Wróciliśmy z niej pełni wrażeń, z postanowieniem zorganizowania raz w roku kilkudniowej wycieczki. I tak to zaczął się cykl wycieczek kilkudniowych, 5-8 dni, który trwał nieprzerwanie od 1962 do 1973 r. Po przerwie zorganizowano jeszcze dwie wycieczki kilkudniowe w 1981 i 1984 r. Razem zorganizowano 15 wycieczek – 12 po Polsce i 3 zagraniczne: do NRD, Czechosłowacji i na Węgry. Objechaliśmy Polskę wzdłuż i wszerz, poznaliśmy jej historię poprzez zabytki, poznaliśmy piękno naszej ojczyzny.

Były one wspaniałymi, niezapomnianymi przerywnikami w naszej pracy zawodowej. Wspominając wycieczki nie można zapomnieć o ich od 1967 r. współorganizatorze mgr. Władysławie Tomaszewskim. Był ich entuzjastą, wspaniałym przewodnikiem, wniósł w te dni wędrówki dużo humoru i ciepła.

Organizatorem wycieczek była Rada Oddziałowa ZNP przy Instytucie.

Sekretariat Instytutu mieścił się na II piętrze. Zawsze pełen pracowników, petentów, potrzebujących, czekających na Profesora, pełen ruchu, długie rozmowy telefoniczne, ciągły stukot maszyny do pisania, wszystkie sprawy ważne i pilne. Nie wyobrażałam sobie tutaj swojej pracy. A jednak po kilku latach, znalazłam w nim swój trzeci warsztat pracy.

Podziwiałam kierowniczkę, że z tym wszystkim sobie radzi. Była nią od samego początku Halina Kaźmierczakowa, energiczna, pełna wdzięku – kobiecości. Drugą osobą mającą tu swoje miejsce pracy, „prawą ręką” Profesora prowadzącą jego dyrektorski sekretariat, korespondencję, maszynopisanie, w pełni oddaną Profesorowi była Helena Studzińska. Zatrudniony był jeszcze gонец, a 4 kierowców czekało na dyspozycje wyjazdów. Instytut posiadał w początkowym okresie swego istnienia 2 samochody osobowe i 2 ciężarówki. Wymienię tylko dwa nazwiska: Kazimierza Jędrzejczaka, który z Instytutu odszedł na emeryturę oraz Henryka Małeckiego, kierowcę wozu ciężarowego, który po zlikwidowaniu ciężarówek przeniesiony został do działu ekspedycji wydawnictw. Lubiliśmy go, woził nas na odpoczynek jedno- lub dwudniowy do Osiecznej.

Nie pamiętam daty mojego przejścia do sekretariatu. Prócz spraw związanych z prowadzeniem sekretariatu, do moich obowiązków należała organizacja wszelkiego rodzaju imprez, administracja Osiecznej, a po zwolnieniu z powodu drastycznych ograniczeń budżetowych – prawie 30 pracowników, dodatkowo jeszcze kasa Instytutu. Pracy dużo, nerwowej często, męczącej, ciągly pośpiech – ale była to praca ciekawa, polubiłam ją. Poznałam wtedy wielkich uczonych, ciekawych sławnych ludzi – poznawałam lepiej naszych pracowników, ich stopień związania z Instytutem. A był to okres bardzo trudny dla Instytutu. Nasze wydawnictwa cieszyły się uznaniem nie tylko w Polsce, ale i za granicą. To cieszyło nas, ale martwił równocześnie ciągły brak pieniędzy i związana z tym niepewność jutra.

Towarzyszyłam w tym okresie Profesorowi w jego wyjazdach do Warszawy. Nie lubił ich, ale zdawał sobie sprawę, że tylko on może jeszcze coś

wydobyć ze skarbca PAN. Podziwiałam go – jego wytrwałość, jego upór, jego hart ducha, jego umiejętność zniesienia upokorzeń i goryczy. Bałam się, że w każdej chwili może nastąpić katastrofa. Lekarze ciągle ostrzegali, mówiąc – pilnujcie Zygmunta, jego stan zdrowia się pogarsza. Bałam się więc o niego, widząc go wychodzącego z gabinetów ministerialnych i dyrektorskich z szarą, zmęczoną twarzą, ze smutkiem w oczach. Potrafił jednak po kilku godzinach odpoczynku w naszym oddziale warszawskim na nowo zebrać siły, rozpocząć wędrówkę od nowa. Trwała ona czasem trzy dni. Cieszyłam się prawie jak dziecko, słysząc wypowiedziane przez niego słowa: „Udało się, nie tak jak pragnąłem, ale będzie nam lżej”.

ZAMEK – OSIECZNA – DOM PRACY TWÓRCZEJ IZ

Spełniał on przez cały okres użytkowania go przez Instytut rolę ośrodka konferencyjno-naukowego. Tu odbywały się konferencje naukowe, sympozja, narady, narady naukowe i narady robocze. Pamiętam je, pełne zaangażowania, ocen programów działania, dyskusji żywej, wolnej od obaw, sloganów, drwętwy. Organizatorami były różne ośrodki naukowe. Tu również wielu pracowników przygotowywało swe prace do druku, wśród nich przede wszystkim naukowcy z Instytutu.

Ośrodek był również miejscem odpoczynku dla pracowników naukowych oraz ich rodzin, również dla pracowników Instytutu z rodzinami. W okresie letnim przebywało w nim od 50 do 60 osób. Miał swoich stałych bywalców.

Kierownikiem w pierwszym jego okresie działania była czarująca, o dużych walorach towarzyskich, dobra organizatorka Izabella Drobnikowa.

Dom ten upodobał sobie również Profesor. Czuł się w nim dobrze. Zbierał tu siły do dalszej pracy, działania. Tu przygotowywał programy pracy dla Instytutu, przewodniczył konferencjom i naradom roboczym. Tu spotykał się z przyjaciółmi i ze swoimi pracownikami z Instytutu. Tu wymyślał dla wszystkich tzw. zajęcia wypoczynkowe, wyprawy do lasu, grzybobranie, wypadu na plażę, wieczory przy muzyce i śpiewie, tańce, swawole. Uczestniczyli w nich stali bywalcy Domu. Pamiętam bal maskowy, zorganizowały go letniczki za namową Profesora. Widzę jeszcze dziś ten zachwyty w oczach panów profesorów młodszych i trochę starszych na widok kobiet ubranych w szmatki. Wyglądały w nich uroczo. W tym balu uczestniczyły również dzieci, do dozwolonej godziny. W programie była bardzo ciekawa – dowcipna „zgaduj-zgadula” i przysięwki bardzo złośliwe.

Profesor kochał dzieci nie tylko swoje, ale i nasze. Pamiętał o nich w okresie Gwiazdki, a w Osiecznej odbywał z nimi spacer do lasu, na plażę, na której organizował dla nich konkursy pływackie, zawody sportowe, zręcznościowe itd. Dzieci bardzo go lubiły i cieszyły się na wędrówce z nim.

Z tej Osiecznej odebrałam od niego ostatni telefon. Chorował, potrzebował towarzystwa. Stąd prośba: przyjeżdżajcie, stęskniłem się za Wami. Ustaliliśmy dzień przyjazdu. Do spotkania nie doszło jednak. Stan zdrowia nagle się pogorszył. Pogotowie zabrało go do Poznania. Były to jego ostatnie dni.

Na zakończenie jeszcze kilka ogólnych uwag. Stanowiliśmy zgraną i zżytą z sobą grupę pracowniczą. Pomagaliśmy sobie nie tylko w pracy zawodowej, ale także we wszelkich kłopotach, które niesie ze sobą życie. Profesor nigdy nam swej pomocy nie odmawiał.

Nasze przywiązanie do Instytutu rosło z roku na rok. Trudności Instytutu napępiały nas troską, martwił nas stan zdrowia Profesora, o którym wszyscy wiedzieli, że nie jest dobry. Staraliśmy się więc tak pracować, aby z naszej pracy był zadowolony, także ze wzajemnego stosunku pracowników do siebie.

Profesor stwarzał ku temu dobrą atmosferę. Był wymagający, żądał rzetelnej, uczciwej pracy. Cenił odwagę przekonań, znał swoich pracowników, ich możliwości. Był dyrektorem sprawiedliwym, który swe sądy opierał na własnych obserwacjach, nie bacząc na krążące plotki. W ciepłych słowach potrafił przeprosić pracownika (rzadka zaleta u kierownika), jeśli uznał, że się pomylił. Był dla nas opiekuńczy, nasze troski, kłopoty stawały się jego troskami. Pomagał natychmiast i zawsze skutecznie. Był człowiekiem odważnym, nie bał się zatrudnić u siebie członka rodziny aresztowanego pracownika lub zapewnić jej pomoc. Za to są mu wdzięczni wszyscy, którzy z Nim pracowali.

*

LECH TRZECIAKOWSKI

LATA 1973 - 1978

Minęło dwadzieścia jeden lat, gdy w 1973 r. stanąłem przed szacownym gronem członków i pracowników Instytutu Zachodniego, by objąć godność dyrektora tej tak ważnej dla nauki polskiej instytucji. Była to ważna i wielka chwila w moim życiu. Zdawałem sobie sprawę z ogromnej odpowiedzialności, jaka na mnie spoczęła, jak również z faktu, że obok pracy badawczej i dydaktycznej zajmować się będę działalnością wykraczającą poza sferę czysto naukową.

Myśl moja biegła ku wielkim moim poprzednikom prof. prof. Zygmuntowi Wojciechowskiemu, Kazimierzowi Piwarskiemu, Michałowi Szczanieckiemu, Gerardowi Labudzie i Władysławowi Markiewiczowi. Byłem ich wychowan-